Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok II. Kraków, dnia 30. Sierpnia 1908 r. Nr. 35.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do p. Bolesława Jankowskiego w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Na pomoc rolnikom.

Komitet krajowy, który ma pod kierownictwem namiestnika zająć się pomocą dla rolników, nie zasypia gruszek w popiele. W poprzednim numerze donosiliśmy o pierwszych jego naradach, lecz już 21. bm. odbyły się drugie, na których obmyślano dalsze środki przyjścia w pomoc rolnikom.

Na wstępie namiestnik dr. Michał Bobrzyński przedstawił komitetowi przebieg akcyi ratunkowej w czasie między pierwszem a obecnem posiedzeniem komitetu. W czasie tym na podstawie dat o rozmiarach klęski, nadchodzących z powiatów, wciągnięto w akcyę ratunkową dalszych 8 powiatów tak, że obecnie

w 46 powiatach

zorganizowane są powiatowe komitety ratunkowe. Akcya ratunkowa może nastąpić tylko tam, gdzie jej konieczność jest udowodnioną, bo inaczej środki będące do dyspozycyi rozproszyłyby się, z ujmą rolników, dotkniętych rzeczywiście klęską powodzi, gradu i ulewnych deszczów. Namiestnik zakomunikował też komitetowi d a l s z e w n i o s k i s w o j e, p r z e d s t a w i o n e j u ż m i n i s t e r s t w u co do akcyi ratunkowej.

Następnie referent namiestnictwa, starosta Rozwadowski, przedstawił rezultaty dat zebranych dotychczas. Brakuje jeszcze dat z kilku powiatów dotkniętych klęską, dlatego, że daty dostarczone nie były dość dokładne i musiały być zwrócone dla uzupełnienia. Z dat już zebranych okazuje się, że

w 27 powiatach 386 gmin

dotkniętych zostało klęską powodzi albo gradu, na całem terytoryum gminnem albo na jego części, w tym stopniu, że płody rolne a w szczególności zboże uważać należy za doszczętnie zniszczone. Obszar ogólny klęską taką dotknięty wynosi

przeszło 70.000 hektarów.

Znacznie większą przestrzeń, bo całe te same i inne powiaty dotknięte są klęską długotrwałych ciągłych

deszczów, które nie pozwoliły zebrać zboża tak, że porosło na pniu. Pod tym względem można

46 powiatów

dotkniętych tą klęską podzielić na kilka kategoryj, w miarę tego, czy uszkodzenie zboża nastąpiło w mniejszym lub większym stopniu.

Na podstawie tego referatu komitet uchwalił rozdać na razie **150** wagonów żyta na zasiew bezpłatnie dla rolników w gminach zniszczonych powodzią albo gradem, o ile ci ostatni nie byli ubezpieczeni, zaś **200** wagonów żyta i **100** wagonów pszenicy na zasiew, na sprzedaż po cenie zniżonej rozdzielić pomiędzy powiaty.

Dla tych powiatów, w których klęska wystąpiła tylko w niektórych gminach lokalnie i ziarno na miejscu kupionem być może, komitet oświadczył się za udzieleniem komitetom powiatowym pewnych kredytów pieniężnych na zakupno ziarna i rozdzielenie między poszkodowanych.

W dyskusyi członkowie komitetu zwrócili uwagę na to, że w zachodnich powiatach, tam, gdzie słoma zgniła, objawi się także brak paszy, oraz na to, aby rolnikom, sprowadzającym ziarno na zasiew, własnym kosztem zapewnić ulgi taryfowe.

Zamykając posiedzenie namiestnik zapewnił, że następne posiedzenie zwoła

jeszcze w bieżącym miesiącu,

aby komitetowi przedstawić ostateczne wyniki dochodzeń, zarządzonych dla zbadania klęski i przedstawić mu wnioski co do rozwinięcia akcyi ratunkowej w ciągu zimy w kierunku paszy dla bydła i na wiosnę w kierunku ziarna na zasiew.

Klęską rolniczą zajmowało się także Polskie Stronnictwo ludowe na zjeździe w Tarnowie, odbytym dnia 23. bm. Uchwalono rezolucyę, w której zebrani posłowie i członkowie Rady naczelnej domagają się wydatnej pomocy dla rolnictwa, przyspieszenia robót melioracyjnych, wyznaczenia z funduszów krajowych i państwowych środków na rekonstrukcyę dróg i mostów oraz urządzenie studzien i t. d. Nadto domagano się wydania zarządzeń takich, aby władze podatkowe szybko przyznawały opusty i wstrzymywały egzekucye podatkowe. Upoważniono też prezydyum stronnictwa, aby zapoczątkowało w danym razie konferencyę wszystkich posłów galicyjskich, bez różnicy stronnictw i narodowości, a to w tym celu, żeby wyjednać u rządu jak najspieszniejszą akcyę ratunkową.

Do najbardziej nawiedzonych klęskami należą powiaty zachodniej części kraju, począwszy od Rzeszowa, gdzie ulewne deszcze, trwające 6 tygodni, nie pozwoliły zebrać zboża i spowodowały gnicie roślin okopowych, a nawet stojącej na pniu koniczyny.

Omłot zboża, z trudem zebranego i zgniłego, jest prawie niemożliwy, gdyż ziarno zbóż powalonych skiełkowało i zrosło się z plewą, a korzec żyta, z trudem wymłóconego, waży zaledwie 25 klg., wedle opowiadań rolników powiatu brzeskiego i dąbrowskiego.

Do tych powiatów, które najwięcej szkód poniosły, należą przedewszystkiem: Mielec (powiat nizinny) i Tarnów (część północna), następnie zaś Krosno, Strzyżów, Rzeszów, Ropczyce, Pilzno, Grybów i Gorlice. Szczegółowe wykazy szkód przedłożyły wydziałowi krajowemu wydziały powiatowe: krakowski i mielecki. W powiecie krakowskim wyrządził wylew nieobwałowanej dotychczas Wisły powyżej Krakowa w 19 gminach i obszarach dworskich szkodę 51.980 kor. na powierzchni 3.258 morgów gruntów uprawnych, ulewne zaś deszcze razem z wylewem Wisły na powierzchni 43.349 morgów w całym powiecie na 5,024.000 koron, przyczem Wydział powiatowy szacuje szkodę w pszenicy na 80 proc., w życie i jęczmieniu na 75 proc., a w ziemniakach i owsie na 60 proc.

W powiecie mieleckim, który w całym kraju ma największą powierzchnię płaskich gruntów nizinnych, oblicza wydział powiatowy w sprawozdaniu z 30 lipca br. szkodę, wyrządzoną przez ulewne deszcze i wodę, stagnującą w polach na 50 proc., a mianowicie: w zbożu na 3,300.000 kor., w okopowych i roślinach strączkowych 1,000.000 kor., zazem 4.300.000 kor.

Z za Oceanu.

Pierwszy biskup polski w Ameryce.

W obecności wielu tysięcy ludu i blisko tysiąca księży, z których więcej niż połowa należy do polsko-amerykańskiego kleru, z każdego stanu Unii, a mianowicie w obecności dwudziestu biskupów, trzech arcybiskupów, chicagoskiego sufragana i amerykańskiego polskiego pierwszego prałata, najprzewielebniejszy X. Paweł Rhode został konsekrowany na biskupa w kościele Najświętszego Imienia w Chicago dn. 29 z. m.

Uroczystość odbyła się wspaniale. Kapłani w swych bogatych szatach wraz z otoczeniem zebrali się w parafialnej szkole katedralnej i udali się do świątyni w procesyi, którą poprzedzali ministranci z krzyżem, kandelabrami i insygniami. Za nimi postępowali biskupi i arcybiskupi w złotych tkanych szatach. Nowy biskup, otoczony polską wojskową gwardyą honorową w towarzystwie swoich dwóch kapelanów szedł za dostojnikami kościelnymi, a za nim dopiero postępował arcybiskup Quigley, konsekrator, w swojem pontyfikalnem ubraniu, w towarzystwie honorowych swych dyakonów XX. Fr. Langego i Stanisława Nawrockiego, również otoczony gwardyą honorową. Procesya posuwała się ulicą.

Połowę katedry zajęli kapłani: arcybiskupi, biskupi i prałaci zasiedli w sanktuaryum. Ks. biskup Rhode zajął miejsce w małej kaplicy, podczas gdy arcybiskup Quigley, konsekrator, z insygniami zasiadł na tronie.

Urzędowe ogłoszenie nominacyi pierwszego polskiego biskupa nastąpiło przez odczytanie breve papieskiego przez X. Dunne, kanclerza chicagoskiej archidyecezyi. Breve papieskie mianuje X. Rhodego biskupem Barki, która to miejscowość położona jest w Afryce i równocześnie ustanawia go biskupem sufraganem przy archidyecezyi chicagoskiej. Po przeczytaniu papieskiego breve nastąpiła konsekracya i msza pontyfikalna. Przy konsekracyi podano biskupowi mitrę, jako znak jego książęcej władzy.

Najuroczystszą chwilą z całej konsekracyi było włożenie rąk arcybiskupa Quigleya na głowę nowomianowanego biskupa, z prośbą do Ducha św., by go natchnął. Podczas ceremonii muzyka i prześliczne śpiewy podnosiły uroczystość chwili. Lud przyjął konsekracyę pierwszego polskiego biskupa okrzykami radości na ulicy. W katedrze było wielu, którzy z rozrzewnienia płakali. Prawie wszystkie polskie kolonie przysłały swych delegatów. Biskup Rhode zamierza wizytować wszystkie parafie polskie.

Co słychać w Polsce?

Kłopoty wszechpolskie.

Wiadomo, że w Królestwie Polskiem stronnictwem rządzącem są wszechpolacy, czyli narodowi demokraci, ci sami, którzy tutaj, w Galicyi, agitują także między rolnikami, zwłaszcza mniejszymi i obiecują złote góry, gdy tylko oni przyjdą do rządów. Obiecywać mogą wiele, bo do ich rządów nigdy nie przyjdzie, oni są stronnictwem wybitnie mieszczańskiem i rolnicy galicyjscy nigdyby do ich samowładnych rządów nie dopuścili, bo wiedzą, czem to pachnie. Ale obietnice nic nie kosztują. Popatrzmy jednak, co się teraz w Królestwie dzieje?

Wszechpolacy — powtarzamy — są tam stronnictwem rządzącem, Koło polskie w Dumie jest wszechpolskiem, prezes Koła, p. Dmowski, jest wszechpolakiem. Jaką politykę prowadzą tam narodowi demokraci?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy przypomnieć, że wszechpolacy, przed rewolucyą w Rosyi i przed Dumą, byli stronnictwem wybitnie opozycyjnem. Przybrali sobie różne teorye polityczne, zapożyczone przeważnie u Niemców, wykrzykiwali, że nikt inny nie umie prowadzić polityki, tylko oni. A miała to być polityka „siły“. Jakto? — pytał niejeden — więc my, słabi, uciśnieni, mamy prowadzić względem Moskali politykę siły? Do takiej polityki trzeba istotnej siły, a nic gadania, że się ma siłę.

— Co wy wiecie — odpowiadali wszechpolacy — my wam pokażemy!

I pokazali. Gdy przyszła pierwsza i druga Duma, tak pokazywali, że aż nakoniec Królestwu Polskiemu obcięto dwie trzecie posłów. Wszystko przewidywali mędrcy wszechpolscy, tylko tego jednego nie przewidzieli, że oni mają siłę krzyczeć, a rząd ma siłę odebrać Polakom mandaty.

Obecnie jest w Dumie posłów polskich tylko kilkunastu. Wszechpolacy spostrzegli, że polityka „siły“ na nic się nie zdała. Spostrzegli, że w ogóle polityki nie robi się kijem, ani kułakiem, tylko rozumem. I zaczęli prowadzić politykę inną. I wtedy co się okazało? Że to jest polityka taka, jaką jeszcze na długo przed wszechpolakami chcieli prowadzić tamtejsi konserwatyści. Jest to polityka, która mówi: pracujemy w państwie i z państwem, chcemy, abyśmy się mogli podnosić w każdym kierunku, więc nie odmawiamy państwu tego, co się mu należy, Rosya wyrządziła nam wiele najcięższych krzywd, ale jesteśmy pod jej panowaniem i musimy myśleć, jak uniknąć złego, a uzyskać choć trochę dobrego dla siebie. Dlatego nie wygrażamy Moskalom kułakiem, bo nie mamy na to sił, lecz prowadzimy politykę rozsądku.

Tak mówili dawniej konserwatyści, wśród których kierowali umysłami głównie wielcy rolnicy.

Co oni za to od wszechpolaków musieli usłyszeć! Że są zdrajcami ojczyzny, że liżą stopy moskiewskie, że poniżają godność narodową, że zaparli się polskości... Nie było obelgi, którejby na nich nie rzucono.

A dzisiaj... Dzisiaj wszechpolacy przekonali się, że innej polityki, jak polityka rozsądku i rozumu niema, że taką trzeba prowadzić. Przekonali się o tem zapóźno, ale lepiej późno niż nigdy. I chociaż poprzedniem swem krzykactwem wiele złego zrobili, mogą to teraz odrobić rozumną pracą.

Jakto? Więc wszechpolacy stali się konserwatystami? Prowadzą tę samą politykę, na którą wprzódy wymyślali? Ależ to nie może być!

Kto nie chce uwierzyć, ma jasny dowód w tem, co się teraz w Królestwie dzieje. Znaczna część działaczy wszechpolskich, niezadowolona z tej zmiany, oderwała się od stronnictwa i prowadzi teraz politykę na własną rękę, przeciw dzierżącym dziś władzę sferom narodowo-demokratycznym. Wydają nawet osobne pisma, aby swych dawnych towarzyszy zwalczać. Takiem pismem jest np. *Myśl wszechpolska*, która tak pisze o narodowych demokratach, dzisiejszych kierownikach polityki polskiej w Królestwie:

Demokracya narodowa posuwa się w swej ugodowości znacznie dalej, niż to ośmielali się dawni czynić ugodowcy. (Str. 31).

„Ugodowcami“ nazywali pogardliwie narodowi demokraci konserwatystów za to, że ci chcieli „godzić się“ z Rosyą. Dziś sami się godzą. A dalej:

Ugodowa polityka demokracyi narodowej nietylko wpływała na zapominanie o obowiązkach względem Polski, ale doprowadziła faktycznie do tego, że wszelka prawie praca narodowa w kraju ustała. (Str. 35).

A cóż dalej mówią wszechpolacy z *Myśli wszechpolskiej* o wszechpolakach tych, którzy przyszli do rządów? Jak oceniają ich działalność w Dumie? Oto tak:

Przed społeczeństwem kierownicy demokracyi narodowej wciąż trąbili o swej opozycyjności i pojechali do trzeciej Dumy obiecując tam prowadzić zdecydowaną politykę opozycyjną nawet względem państwa. Nie zdobywszy się jednak na żadną deklaracyę z powodu obcięcia praw Królestwa, przy pierwszem zaraz wystąpieniu złożyli oświadczenie wiernopoddańcze, **odpowiadające zupełnie stańczykowskiemu: „Przy tobie, panie, stoimy i stać chcemy!“**

Dodać trzeba, że jeszcze przed niedawnym czasem biedna *Ojczyzna* ćmiła swych chłopów opowiadaniami, jaką to straszną opozycyę prowadzą w Dumie wszechpolacy. Bo *Ojczyzna* uważa jeszcze chłopa za tak głupiego, że gdy mu kto powie: „jestem opozycyonistą“, to chłop zaraz pomyśli sobie: „ha, to mądry człowiek, to wielki człowiek!“ *Ojczyzna* się myli, chłop nie jest głupim, choć ona za takiego go uważa i nie w opozycyi, ale w pracy rozumnej widzi dobre, bez względu czy jest to polityka opozycyjna, czy nieopozycyjna.

Ale widzimy, jakim to jest ten opozycyonizm, którym *Ojczyzna* chce chłopów ośmiewać. Właśni towarzysze narodowych demokratów odłączyli się teraz od nich i piszą o nich jako o ugodowcach. Narodowa demokracya rozpadła się na dwa odłamy zwalczające się nawzajem.

I to może najśmieszniejsze w tej wcale nie śmiesznej historyi. Bo hasłem wszechpolaków, którem ćmią teraz chłopa galicyjskiego, tak jak ćmili tam w Królestwie wszystkich, jest to: „My prowadzimy politykę taką, jakiej chce naród“. A tymczasem występują inni, także narodowi demokraci i powiadają: „Nie, wy nie przedstawiacie narodu, narod chce innej polityki, takiej, jaką my będziemy robić!“ Czy to nie istna komedya! Któż więc przedstawia naród? Kto gada w imieniu narodu? Ci, czy tamci?

Do tego dochodzi, gdy politycy ćmią ludzi i gdy każdy występuje imieniem całego narodu. Wtedy lada wykolejony studencina — pożal się Boże! — będzie prawił wyrocznie „w imieniu narodu“! Tylko że taka robota psu na buty i prędzej czy później pokrywa ją śmieszność. Ale widzimy z tego, co się w Królestwie dzieje, jak wyszli wszechpolacy, podając się za reprezentacyę całego narodu; okazało się, że znaleźli się inni, taksamo mądrzy i ci znów powiadają, że naród — to oni! Biedne Królestwo!

Z tego możecie sobie wyrobić zdanie, Bracia Rolnicy, jak smutną jest w Królestwie rola narodowej demokracyi. Nasamprzód robili głupstwa, a gdy wreszcie się namyślili, podjęli politykę konserwatywną, taką, jak już przed nimi dawno chcieli robić inni. A co najgorsze, że nie przyznają się otwarcie: „jesteśmy takimi, jak oni“, lecz ćmią naród: “My prowadzimy nieugiętą opozycyę, walkę, my nie tacy, jak tamci konserwatyści!“ Oto dobry przykład ćmienia. Bo ćmienie, to jedyna podstawa bytu narodowej demokracyi. Przekonać się o tem może z *Myśli wszechpolskiej* każdy, kto jeszcze nie przekonał się z *Ojczyzny*.

Sprawy emigracyjne.

Smutny los naszych w Kanadzie.

Lwowski *Przegląd emigracyjny* kreśli takie rozpaczliwe obrazy:

I. W niewoli.

Oto na dworcu kolejowym w Montreal gromadka wychodźców, złożona z 80 Polaków i Rusinów ciekawie i z niepokojem rozgląda się dookoła; przybyli właśnie z Europy, a celem ich podróży jest zachodni Winnipeg, gdzie w charakterze kolonistów pragną osiedlić się na roli. Ale jak się tam dostać, skoro dookoła nikt ani słowa nie rozumie po polsku ani po rusku, niewiadomo zaś, gdzie kupić bilet, do którego siadać pociągu. Z kłopotu wybawia ich dwóch jegomościów. W łamanym języku polskim przedstawiają się jako urzędnicy emigracyjni, przeznaczeni do opieki nad przybyszami z Europy. Wychodźcy, wypytywani o to, wiele posiadają pieniędzy, skąd pochodzą, dokąd jadą, czy mają znajomych, nie domyślają się, że uprzejmi panowie w rzeczywistości nie mają nic wspólnego z urzędem emigracyjnym, będąc tem, co się u nas piętnuje mianem „hyen emigracyjnych“. Odpowiadają więc szczerze na wszelkie pytania i dają się prowadzić na inny dworzec, skąd rzekomo ma odchodzić pociąg do Winnipegu. Tutaj sadzają ich do wagonu, drzwiczki się zatrzaskują i po chwili pociąg rusza, unosząc ich całą siłą pary w przeciwnym do celu ich podróży kierunku.

Skoro pociąg jest już w drodze, do wagonu zjawiają się znów dwaj jegomoście i tłumaczą wychodźcom, że z posiadaną gotówką nie mogliby nawet marzyć o nabyciu ziemi w Winnipegu. „Ale to nic nie szkodzi“, — dodają — pomyśleliśmy o was i wynaleźliśmy dla was doskonale płatną pracę przy budowie pewnej kolei. Tam wnet zaoszczędzicie potrzebne pieniądze, które umożliwią wam nabycie gospodarstw. Emigranci godzą się na propozycyę i w ten sposób zamiast do Winnipegu dostają się w dzikie okolice prowincyi Ontario. Umieszczeni w nędznych barakach, morzeni głodem i poniewierani, zaczynają niebawem żałować swego kroku. Skoro zaś na domiar złego po kilkotygodniowej ciężkiej pracy przy kopaniu rowów nie otrzymali ani złamanego szeląga, część ich postanawia uciec. W ślad za zbiegami przedsiębiorca wysyła swych dozorców, którzy wystrzałami z rewolwerów usiłują ich zatrzymać.

Po czterech dniach tułaczki wśród lasów, gromadka naszych zbiegów, obdarta, wygłodzona, wyczerpana ucieczką, dociera nareszcie do miasteczka Engelhart, bez pieniędzy i pożywienia. Niestety jednak, w kilka dni potem zjawia się o północy w dzielnicy, gdzie zamieszkali, policya i aresztuje ich wszystkich za złamanie kontraktów. Nie pomagają nic protesty, płacze i zapewnienia, że żadnych kontraktów łamać nie mogli, bo nikt ich z nimi nie zawierał. Policya okazuje się nieubłaganą i aresztowanych biedaków umieszcza w pustym wagonie, którego czujnie strzeże przez noc całą. Nazajutrz rano miano ich odesłać do miejscowości, skąd uciekli, do tego samego przedsiębiorcy, którego porzucili. Ale wychodźcy na wiadomość o tem podnoszą taki krzyk i lament, że alarmują sąsiednich mieszkańców spokojnego miasteczka. Daremnie policya okłada kijami krzyczących więźniów i straszy ich użyciem rewolwerów. Gromki lament biedaków zgromadza coraz liczniejszy tłum, który wreszcie, wzruszony niedolą robotników, nie pozwala policyi pastwić się nad nimi, ani też odsyłać ich tam, dokąd jechać nie chcą. Sprawa dostaje się w ręce adwokata, który uzyskuje uwolnienie biedaków z aresztu, pod warunkiem atoli, iż każdy z nich zapłaci po 17 dolarów i po 35 dolarów na koszta, jakie poniosła policya. Kwoty takiej żaden z nieszczęśliwych wychodźców oczywiście nie posiadał. Zabrano więc im resztki rzeczy, jakie kto posiadał i ostatecznie zmuszono do powrotu na dawne miejsce w głąb lasów do budowy kolei dla zapracowania tam sumy potrzebnej na wykup z niewoli.

Według dzienników kanadyjskich, skąd czerpiemy te wiadomości, najbardziej mieli przy tem ucierpieć srodze pobici: Ludwik Bajurny, Walek Ptasznik i Dymitr Kowalczuk.

II. Oszukańcze kontrakty.

Wychodźców przybyłych z Galicyi do Toronto w Kanadzie spotyka na stacyi usłużny agent, i oka-

zując wielkie zainteresowanie się ich losem, ofiarowuje się zaprowadzić „do biura pośrednictwa pracy“, gdzie otrzymają doskonale płatne zajęcie. „Pan dyrektor“ owego biura przyjmuje naszych ludzi bardzo uprzejmie i daje im podpisać kontrakty, z których nic a nic nie rozumieją, ponieważ ułożone są oczywiście tylko w języku angielskim. Na mocy tych kontraktów oszukańczy „dyrektor“ zastrzega sobie, oprócz pobranej z góry zaliczki w kwocie 5 dolarów od każdego, prawo inkasowania ich całego zarobku w przeciądu pierwszych 5 miesięcy, wzamian za co zobowiązuje się na rachunek ich płacy dostarczyć im odzienia, mieszkania i pożywieni. Z reszty ma się wyrachować po upływie 5 miesięcy. Jakoż po upływie tego czasu okazuje się, że pomimo ciężkiej pracy przy budowie kolei od od godz. 7 rano do 6 wieczorem, oszczędność każdego z tych robotników nie przekracza 5 do 7 dolarów. Tyle przynajmniej wypłacił im w gotówce przedsiębiorczy „dyrektor“, resztę zatrzymuje sobie, jako należność za nędzne utrzymanie jakie dawał i lichą odzież. Zbytecznem byłoby nadmieniać, że w rachunku, jakiego zażądali skrzywdzeni wychodźcy, wszystkie artykuły policzone były 5 lub 6 razy drożej w stosunku do swej rzeczywistej wartości.

III. Smutny powrót.

Grzegorz Kurys, rodem z Galicyi, przybył do wschodniej Kanady i wynajął się do roboty przy budowie kolei. Wtem po upływie trzech miesięcy doszła go z kraju wiadomość, że żona jego zmarła, pozostawiając troje drobnych dziatek bez opieki. Postanowił więc wrócić do Europy.

Atoli brak potrzebnych środków stawał na przeszkodzie ku temu: gdy przyjechal do Montreal, by stąd wyruszyć z powrotem za Ocean, cały jego majątek wynosił 5 dolarów Znalazł się jednak usłużny agent. Wzamian za owe ostatnie pięć dolarów przyrzekł Kurysowi wystarać się o przejazd do Antwerpii na okręcie, na którym Kurys miał otrzymać na czas podróży zajęcie.

Na okręt ten dostał się w istocie Kurys, zajechał jednak nieborak zamiast do Antwerpii, jak mu to obiecywał agent, do portu Glasgow, gdzie wobec okoliczności, że podczas podróży nic nie zarobił, ocknął się na bruku bez grosza i jakichkolwiek środków do życia. Wzruszony jego dolą kapitan okrętu zgodził się zabrać go z powrotem do Montreal i tu przy pomocy konsulatu austryackiego wniósł Kurys skargę do sądu przeciwko niesumiennemu agentowi, dzięki czemu miejscowe dzienniki dowiedziały się o jego przygodach.

Wiersze, piosnki Z naszej wioski.

(Patrz rycinę).

Jantek z Bugaja nie zrodził się w pałacu złocistym, nie wykołysały go dostatki, ale wydała go słomiana strzecha, a w życiu była mu towarzyszką szara dola — chłopska dola!... I poleciały z chłopskiej piersi piosnki, jak stado motyli i zabłądziły pod strzechy wieśniacze, aby siermiężnej braci dodawać siły, krzepić ją i rozpalać serca do oświaty i miłości Ojczyzny.

W roku 1905 wydał tomik poezyi p. t. „Blade kwiaty z wiejskiej chaty.“; teraz zaś ukazał się tomik drugi p. t. „Wiersze, piosnki z naszej wioski napisał Jantek z Bugaja“.

I któż to jest ten Jantek z Bugaja, co aż książki i to wierszem pisze? Czy może jaki uczony profesor, czy co innego?

Wielu z was, Bracia Rolnicy, zna go dobrze, boć żyje wśród was i tak samo jak wy orze czarną ziemię. Inni czytali jego wierszyki drukowane w różnych gazetkach. Nie uczony ci to żaden w szkołach mędrzec, ale rolnik, który spracowaną ręką rzuca ziarna na papier. W liście do mnie sam powiada: „Nie jestem żadnym nadzwyczajnym człowiekiem, tak, że kto mnie nie zna, powiedziałby, że do 10-ciu nie dalej narachuję. Wszystko zawdzięczam książkom, do których miałem chęć od dziecka“.

I te książki dały mu imię znane wśród braci swojej.

Antoni Kucharczyk (Jantek z Bugaja) wydał więc, jak powiedziałem, drugi tomik swoich wierszy. Jeżeli inne stany szczycą się ludźmi, którzy przerastają ogół talentem, więc i my, Bracia Rolnicy, powinniśmy szczycić się, jeżeli który z nas zdoła sobie zdobyć imię szersze i znane w społeczeństwie. Do takich należy Antoni Kucharczyk, pisujący pod nazwiskiem Jantek z Bugaja.

Może nie wszyscy go znacie, dlatego postanowiłem napisać kto on jest i jakie to te jego piosnki, które w książeczce wydrukował.

Antoni Kucharczyk jest mężczyzną w sile wieku, liczy bowiem dopiero 33 lat życia. Przed trzema laty ożenił się ze swoją kochaną Magdusią, o której bardzo często w swoich wierszach wspomina. Majątku nie posiada wielkiego, bo tylko 2 morgi pola ornego i 2 morgi lasu. „Ciężko muszę pracować na tak małym kawałku gruntu — powiada w liście do mnie, — aby mojej rodzinie nie zabrakło chleba, ale jednak nie mieniałbym mojej chłopskiej doli za żadne tytuły i fortuny wielkopańskie!“

Grą na skrzypkach w uroczystości weselne zarabia przytem, aby tego chleba nie brakło.

A jakież te jego piosnki, które dla braci swej wyspiewał i wydrukować kazał?

Co serce czuło, co grało w tajnikach duszy jego, przelał na papier, aby brać siermiężną pokrzepić i podnieść ku wyżynom.

Książeczkę swoją podzielił na ośm części, a każdą część ofiarował komuś drogiemu jego sercu.

Pierwsza część nosi tytuł: „Tobie Ojczyzno!“ Jaka tu cześć i ukochanie tej Matki Ojczyzny! Z każdego wiersza bije gorąca miłość ku niej. Pyta tam poeta i ciebie przyjacielu:

Czy ty kochasz, bracie miły,
Z całej duszy, serca siły,
Twą Ojczyznę?...

A dalej woła:

Czy ty jesteś, bracie, taki,
Abyś z życia, krwi ofiare
Dał za polską wolność, wiarę...

Wiersz ten kończy wezwaniem:

Kochaj bracie, kochaj siostro,
Całą duszą, sercem, „ostro“,
Twą Ojczyznę, świętą wiarę,
Twoją mowę, cnoty stare!

W innym wierszyku pod tytułem: „Wiara, Nadzieja, Miłość“, objaśnia nam poeta, jak on tę Ojczyznę ukochał:

Nadewszystko, oprócz Boga,
Kocham Cię, Ojczyzno droga,
Jako prawe Twoje dziecię,
Poświęcam Ci moje życie...

A w czemże widzi poeta najpierwszy stopień do służenia Ojczyźnie i do oswobodzenia jej? Ślicznie to wypowiada w wierszu p. t. „Modlitwa“, który kończy tak:

Proszę Cię, Boże, by wszystkich Twych dzieci
Bratnim uściskiem złączyły się dłonie!

„Wiersze, piosnki z naszej wioski“.



Jantek z Bugaja.

A jeszcze dokładniej powiada to w wierszu p. t. „Do braci włościan“, który pozwolę sobie tu w całości przytoczyć:

W miłości bratniej, jedności i zgodzie
Odzyskasz siły swe, polski narodzie!
Ojczyzna matka, w cierniowej koronie,
Jak męczennica na krzyżu rozpięta,
Póki jej dzieci nie złączą swe dłonie,
By wspólną siłą rozerwać z Niej pęta.
Polski narodzie, patrz na Matki skronie,
Już sto lat przeszło w cierniowej koronie.
Czyż jak tłum żydów pod krzyżem bezduszny,
Będziesz wciąż żywił gniew bratni, niesłuszny?...

O jakże piękne te słowa! Bo powiedz, kochany czytelniku, czyż nie jesteśmy wszyscy dziećmi jednej matki, czyż nie powinniśmy dłoń w dłoni pracować dla tej biednej Polski?

Za dużo by miejsca zabrało, a pan Redaktor gniewał by się, gdybym chciał wszystkie ziarnka zasiane w tej części — a odnoszące się do Ojczyzny — powtarzać. Przejdźmy więc do części drugiej, zatytułowanej: „Mojej Magdusi“.

Któż to ta Magdusia? — Magdusia to żona poety. A kocha on ją bardzo, całem rozmarzonem sercem i woła:

Bo ja, Magdusieńko bez ciebie, bez ciebie
Byłbym nieszczęśliwy, nawet w samem niebie.

A w „Krakowiakach dla Magdusi“ tak jej śpiewa:

Widziałem królewnę, widziałem hrabianki,
Nie mieniałbym za nie Magdusi włościanki.

Części trzeciej dał poeta tytuł: „Piosenko leć!“ W części tej wśród ładnych wierszyków na pierwsze miejsce wysuwa się p. t. „Tak mi jest czasem“.... W wierszyku p. t. „Czemu“, jakby wygranym na lutni Konopnickiej, tak poeta mówi:

A czemuż to chłopska dola
W biedzie bez końca?
Bo brak w naszych chatkach, polach
Oświaty słońca!....

W wierszyku p. t. „Żebym to ja miał czas“... wygłasza poeta swój zapał do pracy na niwie literatury ojczystej, ale praca nad ziemią czarną wytrąca mu pióro z ręki.

Żebym to ja miał czas
Swobodnie władać piórem,
Rozgrzałbym zimny głaz
Roztęczył czarną chmurę...
Porwałbym moją brać
W obce im ducha wzgórze...
Ojczyzna, moja Mać,
Jaśniałaby w purpurze...

W czwartej części p. t. „Sonety wiejskie“ poświęconej poecie Lucyanowi Rydlowi, kreśli poeta kilka bardzo ładnych obrazków z życia.

Część piątą p. t. „Obrazki ze wsi“ poświęca p. Jadwidze Rydlowej, zaś szóstą p. t. „Moja lutnia“ p. Maryi Siedleckiej, której we wstępnym wierszu dziękuje:

Za te książki.....
W których polskie geniusze
Karmią moją głodną duszę.....

I głosi, że ziarna przez wieszczów zasiane, nie padły na opokę.

Idziemy, idziemy szare miliony,
Gdzie wyzwolenia zorzy wschód,
Rzucamy za siebie szare zabobony,
Co utrudniają nasz chód!...

Część siódma zatytułowana „Przypowiastki“ a poświęcona „Moim braciom w siermiędze“ mieści w sobie rozmaite ucieszne wierszyki, z których można się dobrze uśmiać.

Nareszcie w części 8 daje poeta dwa wierszyki, z których drugi bardzo ładnie przedstawia, jakto ludzie proszą Boga równocześnie o wprost sprzeczne rzeczy. Młynarz prosi o deszcz, rolnik o pogodę; gospodyni, żeby jajka były drogie, a mieszczanin, aby były tanie; grabarz, żeby ludzie umierali, a inni o długie życie. Ale Mądrość Boża wie co czyni!

Słowem, książeczka zasługuje na to, abyście ją, Bracia Rolnicy poznali, żebyście widzieli, jak ręka spracowana nie tylko cepem, ale i piórem śmigać potrafi. Jeżeli ktoś nie żałuje grosza na gazetkę, lub książkę, ale czyta i kształci się, to potrafi wzbić się nad poziom. A ileż takich talentów śpi ukrytych wśród szerokich mas wieśniaczych!

Dla całości dodam, że książeczka kosztuje tylko koronę, choć obejmuje 100 kartek a wydała ją Macierz Polska we Lwowie.

Antoni St. Bassara.

KRONIKA.

Sejm galicyjski został zwołany na 14 września i będzie obradował do 3 listopada.

Nasze ryciny. Dajemy dziś fotografię Jantka z Bugaja, którego książeczkę opisuje w obecnym numerze Antoni Bassara. Oprócz tego znajdą czytelnicy nasi ilustracyę smutnego zdarzenia, jakie zaszło niedaleko Thionville, we Francyi. Pewien rolnik sprowadził na spółkę z innymi żniwiarkę. Zaledwie wyprowadził ją na pole i puścił w ruch, nadeszła żona z dziećmi. Jedno z nich tak nieuważnie zbliżyło się do żniwiarki, że maszyna je schwyciła. Daremny był pośpiech, z jakim nieszczęśliwy ojciec wstrzymał konia. Maszyna pokaleczyła dziecko tak strasznie, że na miejscu zakończyło życie.

Czytelnikom naszym z powiatu tarnobrzeskiego i sąsiednich zwracamy uwagę na ogłoszenie Towarzystwa przemysłowo-rolniczego w Tarnobrzegu.

Smutny powrót z Brazylii. Z Wiednia donoszą, że w niedzielę przybyło tam 200 robotników rosyjskich z powrotem z Brazylii, których wysłał tam hr. Hon, a którzy teraz wracają za pieniądze dostarczone im przez konsulaty rosyjskie. Konsulat rosyjski w Wiedniu chciał odesłać ich do stacyi Granica, robotnicy jednak zażądali odesłania ich do Podwołoczysk, gdyż stamtąd mają bliżej do domów. Ponieważ konsulat nie chciał przychylić się do tej zmiany kierunku podróży, robotnicy pozostali we Wiedniu, rozłożyli się na chodnikach przed dworcem na Nordbahnstrasse i na chodniku przepędzili całą noc. Dopiero w południe w niedzielę udało się policyi opróżnić z nich ulicę. Konsulat zgodził się wreszcie na żądanie robotników i tych, którzy pochodzili z Podola i Wołynia, wysłał do Podwołoczysk. W poniedziałek kilkunastu z tych robotników zgłosiło się w wiedeńskiem miejskiem biurze bracy z prośbą o dostarczenie im roboty. Są to przeważnie robotnicy ukwalifikowani, jak kowale, ślusarze, odlewacze w metalu, szewcy, krawcy i t. p., a mimo to przez komitet, zajmujący się wysyłką do Brazylii, zgodzeni zostali do robót ziemnych około budowy kolei i do karczowania lasów. Nic dziwnego też, że robót tych dokonać nie mogli, bo się do nich zupełnie nie nadają. Robotnicy galicyjscy, którzy wyjechali do Brazylii, powrócili już przed paru tygodniami — pisaliśmy w jak smutnym stanie.

Nowa stacya telegraficzna. Z dniem 24 bm. otwarta została przy urzędzie pocztowym w Jasienicy powiat Brzozów stacya telegraficzna z ograniczoną służbą dzienną.

Tajemniczy zgon. W wąwozie leśnym w Strusowie, powiatu trembowelskiego, znaleziono zwłoki tamtejszego mieszkańca, 80-letniego Marcina Kolińskiego, cierpiącego od dłuższego czasu na pomieszanie zmysłów. W sprawie tej wdrożono dochodzenia karno-sądowe.

Awantury Ukraińców. Z Żółkwi donoszą: W niedzielę przybyła do Żółkwi wycieczka ukraińskich stowarzyszeń ze Lwowa, celem urządzenia festynu na Haraju. Między innymi przybyło 20 sokołów ruskich w mundurach i kilkunastu „siczowników“, zbrojnych w toporki. Po zabawie w lesie, w skład której wchodziły i ćwiczenia toporkami, uczestnicy wycieczki zgromadzili się na dworcu kolejowym, gdzie było wiele publiczności polskiej. Nagle ukraińcy poczęli śpiewać „Ne pora“, Polacy zaś „Jeszcze Polska nie zginęła“. W tej chwili sokoli i siczownicy rzucili się z laskami i toporkami na polską publiczność i dwie osoby pokaleczyli, przyczem wybito kilka szyb na stacyi. Wreszcie pociąg zajechał i ukraińcy wsiedli do wagonów, z których jeszcze żegnali stojących na dworcu Polaków kamieniami. Dzicy ludzie!

Pożar. Trzy gospodarstwa włościańskie spłonęły w tych dniach w Pochówce, powiatu bohorodczańskiego. Szkoda wynosi przeszło 2000 koron.

Fatalne żniwo.



Dziecko w żniwiarce. (Patrz „Nasze ryciny).

Ofiara wody. W rzece Czeremoszu na terytoryum gminy Żabie utopił się Łeś Kikińczuk podczas wyławiania kloców z wezbranej rzeki.

W gminie Pistyniu, powiatu kosowskiego, utonął w czasie powodzi zajęty na brzegu rzeki Pistynki usuwaniem naniesionego drzewa tamtejszy włościanin, Iwan Bratownik.

Wypadek z samochodem. Ze Sambora piszą: W pobliskich Nadybach wydarzył się straszny wypadek z automobilem. Na skręcie drogi spotkał się samochód bar. Dunina z Głębokiej, w którym siedział właściciel jego z trzema damami, z wozem włościanina Wicyna, na którym siedziało pięć osób. Zderzenie było tak silne, że wóz z końmi się przewrócił, konie zostały poranione, a gospodarz Wicyn, mazur, wyleciawszy z wozu, dostał się pod koła samochodu, który przejechał go, gniotąc mu klatkę piersiową. Reszta osób,

siedzących na wozie, ocalała. Wicyn doznał tak silnych obrażeń, że z nich może nie wyjść. W stanie beznadziejnym, zrobił Wicyn, gospodarz na 50-morgowem gospodarstwie, człek zapobiegliwy i zamożny, rozporządzenie ostatniej woli i z przytomnością umysłu dawał rodzinie ostatnie zlecenia.

Przeklęta wódka. Z Doliny donoszą: Sześćdziesięcioośmioletni włościanin w Pacykowie, Michał Matijczuk, przechodząc w podpitym stanie przez ogród włościanki Julianny Semenyszynowej, upadł twarzą do kałuży, a nie mogąc się podnieść, udusił się.

Śmiertelna jazda. Tymi dniami wieczorem, drogą z Kurdwanowa do Podgórza jechał woziwoda podgórski Grünberg, wioząc na wozie beczkę. W drodze spotkał jakąś starszą kobietę, która przysiadła się prosząc, by ją podwiózł do Zabłocia, gdzie ma sprzedać buty i obiecała Grünbergowi za usługę zapłacić. W Zabłociu jednak nie znalazła nabywcy na buty, więc pojechała z Grünbergiem do Podgórza. Dla skrócenia drogi, woziwoda zamiast jechać gościńcem, skręcił na drożynkę nad brzegiem Wisły. Nagle konie skręciły gwałtownie, a koła przednie wozu wpadły do rowu przydrożnego, wykopanego przez wojsko w czasie tegorocznego wylewu Wisły. Grünberg wypadł z wozu na drogę, natomiast kobieta wpadła do rowu, a przygnieciona wozem, poniosła śmierć na miejscu.

Wdzięczność parafian. Z Tarnowca piszą nam: W Tarnowcu nie daleko Jasła, przewielebny ksiądz kanonik Jan Puzon, sprawił parafianom swoim w tym roku wiele radości duchownej. Świątobliwy ten i przezacny kapłan, prawdziwy sługa Boży, jest wśród nas już 20 lat przewodnikiem i dobrym pasterzem, który rzeczywiście według słów Chrystusa Pana daje życie za owieczki swoje. Nie żałuje on ni trudów ni utrapień, łoży koszta i mienie swoje, by tylko dusze Mu powierzone pociągnąć wyżej, ku słońcu — do nieba. Nie liczymy lat ubiegłych, podczas których parafianie Tarnowca wspominali i ogłaszali błogie i bogate owoce działalności przewielebnego księdza kanonika; ale ten rok jest świadkiem, ile dobra mamy od Niego.

W Wielkim Poście tj. z końcem marca Przewielebny ksiądz kanonik zaprosił OO. Redemptorystów na ośmiodniowe rekolekcye dla parafian, co było dla nas prawdziwą ucztą duchową. Wiele ludzi odtąd weszło na drogę prawa i niewinność duszy odzyskało. Dzień 3-ci maja br. zapisał się nam włościanom żywo w pamięci, bo też z odczytu i wyjaśnień o tej wiekopomnej pamiątce, poznaliśmy jakie to wielkie i doniosłe zadanie postanowiono na sejmie w r. 1791 ku ulżeniu ludowi a tym sposobem i wmocnieniu państwa polskiego. Dnia 17 maja znowu miła niespodzianka; albowiem w sali budynku plebańskiego na czytelnię dla Związku katolickiego Społecznego przeznaczonej, odbyło się z woli przewielebnego kanonika pod przewodnictwem wielebnego wikarego Franciszka Sienickiego prześliczne przedstawienie treści religijnej, Objawienie się Najśw. Panny Maryi w Lourdes pod napisem „Bernadeta". Zaledwie to przebrzmiało a już nowe wieści rozchodziły się w parafii, że dziatwa przystąpić ma do pierwszej Komunii św. z niebywałą dotąd uroczystością i radością. I rzeczywiście tak było; bo zaledwie dzień 28 maja zawitał a już od 6 tej godziny rozległy się grzmoty moździeży, które nie ustawały aż do wieczora samego. Po skończonej Komunii św. i po rozdaniu obrazów pamiątkowych, nastąpiła w domu przewielebnego księdza kanonika uczta domowa dla dziatwy. Jakżeż miło było patrzeć, gdy do koła stołu zasiadło blizko 200 dzieci, i jak one zajadały smaczne potrawy i przysmaczki zgotowane na zarządzenie przewielebnego księdza kanonika. On sam podczas tego zasiadł wśród dzieci i zachęcał do jedzenia, i bawił je. Przybył też na tę ucztę WPan kolator Franciszek Piliński.

Oby tak wszędzie było, a zapanowałaby szczera miłość jako nierozerwalne ogniwo łączące duchowieństwo i lud.

Uduszenie w studni. W miasteczku Zabłotowie zdarzył się wypadek, który pociągnął za sobą w ofierze życie dwu ludzi. Szesnastoletni Hryć Bojczuk chcąc wydobyć urwane wiadro, spuścił się na linwie do studni, udzie znalazł śmierć, udusiwszy się nagromadzonymi tam gazami. Ten sam los spotkał także włościanina z Trójcy, 54-letniego Koźmę Sonyka, ktory go chciał ratować. Po wypompowaniu gazów wydobyto zwłoki i pochowano na miejscowym cmentarzu.

Ostrożnie z grzybami. We wsi Kutkowice pod Tarnopolem zmarło po spożyciu zatrutych grzybów dwoje dzieci tamtejszego włościanina Semka Matuniaka, 5-letnia Marya i półtrzecia roku liczący Ołeksa. Matuniak i jego żona walczą ze śmiercią.

Tajemniczy balon. W Rozwadowie spostrzeżono w bardzo znacznej wysokości nad miastem balon, kształtu kulistego, który poruszał się zwolna w kierunku północnym, to jest ku granicy rosyjskiej.

Zabito szynkarza. W karczmie w pobliżu stacyi Dereniówki, na szlaku Tarnopol-Kopyczyńce, zamordowano w celach rabunku karczmarza Simchego Mecesa,

Zwiastunka śmierci.

(Z prawdziwego zdarzenia). 1)

Pewien właściciel majętności ziemskiej w Inflantach w Rosyi, wyjechał przed wielu laty zimą w interesie do miasta Walk. Śnieg wysoko pokrywał ziemię, ale że przy panujących straszliwych mrozach zupełnie był zamarznięty, tor na śniegu był dobry. Szybko zatem sunęły saneczki, w których siedział nasz podróżny, po gładkiej powierzchni, a za temi saneczkami pędziły drugie, w których siedział sługa właściciela. I powietrze było czyste, a żadna chmurka nie zasępiała pogodnego nieba. Pewnego wieczora jednakże, gdy już podróżni znaczną część drogi przebyli, pokryło się niebo czarnemi chmurami, z których niezadługo gęsty śnieg począł padać na ziemię; nadto powstał wiatr gwałtowny i sprawił przykrą zawieję. Wskutek tej zawiei i zwiększającej się coraz ciemności, podróżni niezadługo zboczyli z drogi i zabłądzili. Naokoło ani jednego nie ujrzeli światełka, któreby im wskazało ludzkie pomieszkanie, i tak błąkali się w rozpaczliwem położeniu, aż po kilku godzinach, gdy i zawieja nieco ustała, ku wielkiej ich radości zabłysło zdala światełko. Natychmiast skierowali tamdotąd, ale nie zajechali, jak tego pragnęli. przed gospodę, tylko przed dom prywatny, i nie pozostało im nic innego, jak poprosić właściciela domu o gościnne przyjęcie. Zakołatali do bramy, którą też niezadługo otworzył sługa z latarnią. Temu przedstawili przykre swe położenie i kazali poprosić pana swego, aby im dał na tę noc przytułek. Sługa udał się do pana i niezadługo z nim powrócił. Był to dzierżawca folwarku, człowiek uprzejmy i miły, w najlepszych latach; przyjął zbłąkanych podróżnych po przyjacielsku, kazał koniom i sa-

niom wygodne dać pomieszczenie, a gości w dom wprowadził. Służącego wyrowadzono do czeladzi, a pana do schludnego i mile ogrzanego pokoju, gdzie go młoda uśmiechnięta żona dzierżawcy serdecznie powitała. Zaraz odłożyła szycie, którem była zajęta i zakrzątała się koło kuchni, aby zaspokoić potrzeby znużonych, przeziębłych i zgłodniałych podróżnych, tak że szczerze temu byli radzi, że do tak gościnnego zbłąkali się domu. Nie długo trwało, a podróżny był jak w domu, i rogrzawszy się, zaspokoiwszy głód i pragnienie, gawędził z uprzejmymi gospodarzami przez cały wieczór. Przy sposobności rozmowy o zabłądzeniu i rozmaitych nieszczęściach podróży, opowiedział mu też gospodarz domu awanturę daleko większą i niebezpieczną, która mu się wydarzyła przed niewielu laty, i w dziwny sposób z obecną żoną go połączyła.

Posłuchajmy tego opowiadania:

Nasz dzierżawca był przed swojem ożenieniem się plenipotentem (pełnomocnikiem) pewnego moskiewskiego szlachcica, którego posiadłości położone były na Białej Rusi, na prawym brzegu rzeki Dźwiny. Razu pewnego musiał zimową porą odbyć w interesie swego pana daleką podróż aż w okolicę Narwy. Kolei żelaznych w tych okolicach wtenczas jeszcze nie było, a że urządzenie poczt w Rosyi bardzo było (i jest dziś jeszcze) niedostateczne, i nie wszędziel bo tylko pomiędzy głównemi miejscami handlowemi były komunikacye pocztowe, przeto wybrał się w drogę małemi, tylko w jednego konia zaprzężonemi saneczkami, w których sam powoził. W północnej Moskwie wiele jest jezior, pomiędzy niemi niektóre bardzo znacznych rozmiarów, a przy nadzwyczaj silnych mrozach, jakie w tych stronach panują, tak mocno wszystkie jeziora zamarzają i tak grubą i stałą pokrywają się warstwą lodu, ze bez najmniejszego niebezpieczeństwa życia z największemi ciężarami można przez takowe przejeżdżać, co tem wygodniej da się uskutecznić, że po największej części mają jeziora te nizkie brzegi. To też dla skrócenia drogi przejeżdżają po tych jeziorach podróżni i kupcy w najrozmaitszych kierunkach, a nawet dla zmniejszenia trudów i niedogodności tych zimowych podróży, przez lody ogromnych jezior, wśród niesłychanych mrozów północy, ustawiają z początkiem zimy na lodzie w pewnych odstępach małe domy zajezdne, wybudowane z drzewa jak baraki. Przez jedno z takich jezior, Peipus, obejmujące 51 mil kwadratowych obszaru i ciągnące się nad granicą Inflant i właściwej Moskwy, prowadziła droga plenipotenta. Dojechał on do jeziora pod wieczór wśród gwałtownej zawiei i mroźnego wiatru, który od lodów jeziora prosto w twarz mu zawiewał. Podróż przez jezioro była nadzwyczaj utrudzająca i niebezpieczna. Wskutek zawiei nie było można rozpoznać utorowanej drogi i przez głęboki śnieg trzeba było pchać się naprzód; w tym śniegu i przeciwko gwałtownemu wiatrowi krok za krokiem tylko koń znużony mógł postępować, podczas gdy plenipotent obok sanek brnął pieszo w śniegu. — Z największą niecierpliwością rozglądał się wokoło, czy nie ujrzy światełka jednej z tych barak na jeziorze, do których z takiem pragnieniem dążył, ale naokoło gruba panowała ciemność.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NIPPON BANZAJ!*)

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ.

52) (Ciąg dalszy).

Lecz zanim palec zdążył po raz trzeci pociągnąć za cyngiel, oba pozostałe jeszcze w zdrowych rękach bagnety jednocześnie zatoczyły świetliste koło i jednocześnie zgrzytnęły głucho po kościach czaszki.

Rozkaz był — żywcem wziąć!

Japończyk zwinął się w miejscu i miękko opadł na ziemię.

Przez chwilę rozdziawiał szeroko gębę, jakby ziewając, robił bokami, jak rozdymający się przedśmiertnym tchem wąż.

Na moment przycichł zupełnie.

Potem jedna ręka zsunęła mu się niżej, jakby w bezwładzie omdlenia, ale dziwnym zbiegiem trafiła znów prosto do kieszeni.

Za moment już wracała, niosąc coś do ust.

Lecz jednocześnie cztery żelazne żylaste łapy jak jastrzębie, spadły na niego, pochwyciły ten pokryjomy ruch i przygniotły go do ziemi.

Kuropatkin, obserwujący całą tę scenę w grobowem milczeniu, podszedł teraz i potrącił go nogą.

— Struć się chciałeś, psie! Chciałeś się wykpić tanim kosztem? Nie, tobie co innego sądzone. Umrzesz, ale umrzesz tak, że twoje jęki przedśmiertne dolecą do twojej ojczyzny!

Jokodama obrócił z pewnym wysiłkiem głowę i spojrzał na niego.

Dokoła jego ust przewinął się sarkastyczny uśmiech.

— Żaden z was nie doczeka tego, ażeby usłyszeć jęk prawego japończyka! Każ twym zbirom uwolnić mnie, sławny wodzu! Jestem gotów na wszelkie męki, jakie ci twoja wielka dusza podpowie. Nippon, Banzaj!

Kuropatkin skinął z wściekłością na żołnierzy.

— Zatkać mu gardło!

Żołnierze pośpieszyli spełnić rozkaz z gorliwością, wskutek której Jokodama znów na chwilę omdlał.

Ocknąwszy się, odkaszlnął krwią i poruszył głową, jakby próbując kręgów.

— Uśmierzyło cię?... — zapytał nienawistnie wódz.

Japończyk nie odpowiedział i nie spojrzał.

Powolnie jakby zbierając kości, dźwignął się na kolana, podparł się rękami i wreszcie wstał.

I teraz dopiero spojrzał staremu wodzowi prosto w oczy.

Pod wpływem tego spojrzenia, lśniącego jak stal i jak stal zimnego, źrenice Kuropatkina zamigotały niepewnym blaskiem, uczuł potrzebę spojrzenia w bok.

Nerwowa twarz japończyka wykrzywiła się sarkastycznym, trującym uśmiechem. Przez chwilę wpatrywał się w potężnego przeciwnika rozgorzałymi płomieniami swych oczu, wreszcie zaśmiał się śmiechem przeciągłym, suchym, a dziwnie urągliwym, smagającym, jak bicz.

Od tego śmiechu policzki starego wodza zabarwiły się rumieńcem — dla przyczyny, z istoty

*) „Niech żyje Japonia"!

której na razie nie próbował nawet zdawać sobie sprawy.

Czuł tylko, że jest mu grubo nieprzyjemnie i niecierpliwie zamachał ręką na żołnierzy,

— Precz z nim! I tam zrobić dokładną rewizyę.

Argumentem, skierowanym pod łopatkę i pod żebro, momentalnie nadano japończykowi należyty kierunek — ku drzwiom.

Ustępował zwolna, nie przestając ani na moment palić rozelśnionemi ślepiami. Po twarzy jego rozlewała się dziwna radość. Przed samym progiem oparł się jeszcze na chwilę wypychającym go pięściom.

— Wielki wodzu! Czy pamiętasz podczas tej sławetnej pierwszej operacyi to lekkie, niby przypadkowe zakłócie? Cha, cha, cha! Czy pamiętasz, wodzu sławny?!

Kuropatkin spojrzał na niego.

— Co chcesz przez to powiedzieć, podstępny, podły psie japoński?

— Cha, cha! Wielki wódz raczy się gniewać! Wiedzże, wodzu, i drżyj naprzód! To zakłócie nie było przypadkowem. Czy przypominasz sobie dobrze te okoliczności, w których wydałeś ów bohaterski odzew do ofenzywy? Cha, cha!... To, że zostałeś później sromotnie rozbity, to jest to twoja własna zasługa. Ale żeś wogóle mógł ten rozkaz wydawać, to jest zasługa moja, skutek owego niewinnego zakłócia. Przez to zakłócie ja ci wówczas ducha zatrułem — słyszysz? — ducha! I niejeden jeszcze podobnie szalony czyn popełnisz na zgubę powierzonej ci armii, aż pierwszy lepszy z twoich żołnierzy łeb ci kamieniem roztrzaska! (C. d. n.)

CENY ZBOŻA i BYDŁA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 25 sierpnia 1908).

Na targach pozakrajowych tendencya jest spokojna, a ruch zwłaszcza co do pszenicy mało ożywiony.

Nasz dzisiejszy targ odbył się w usposobieniu wogóle miernem. Przy znacznem zaofiarowaniu chęć kupna była wstrzemięźliwa, a wobec tego obroty tylko minimalne.

Więcej cokolwiek transakcyi dokonano jedynie na zboże nasienne, które płacono chętnie powyżej notowania — poza tem ceny pozostały niezmienione.

Sprzedawano: pszenicę białą od 12·30—12·50 kor., czerwoną od 12·30—12·50 kor., żyto 9·75—10·50 kor., jęczmień 8·35—9·00, owies 7·60—8·30 k., kukurydzę starą 8·90—9·50 kor., nową 0·00—0·00 kor., kukur. Cinquantino 9·00—10·10 kor., groch zwyczajny 12·00 do 13·00 kor., groch Victoria 14·20—15·10, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 7·50—8·50 kor., bobik 7·10—7·60 kor., rzepak 14·50—16·00 kor., otręby pszenne 5·60—5·90, otręby żytnie 5·50—5·80, koniczyna nasienna czerwona 00·00—000·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.

Z miejskiej centralnej targowicy na bydło w Krakowie. Dnia 25 sierpnia br. spędzono na targ bydła rogatego sztuk: 142, cieląt 200 owiec i kóz 3, nierogacizny 158. Razem 503 zwierząt. Płacono za jeden cetnar metryczny żywej wagi: buhaje od 00·00 do 00·00 kor., woły 56·00 — 68·00 kor., krowy 00·00—00.00 jałownik 00·00—00·00 kor., cielęta 68·00—76·00 k., nierogaciznę tuczną 00·00—000·00 kr., bitej wagi: nierogaciznę 110·00—148·00 kor. Z zakupionych na oko płacono za sztukę: woły z paszy 180·00—250·00 k., krowy 100·00—150·00 kor., buhajki i jałówki 80·00—100·00 kor., cielęta 10·00—52·00 kor., owce i kozy 15·00—000·00 kor., buhaje 120·00—200·00 kor. Ze spędzonych na targ zwierząt sprzedano sztuk: na miejscową konsumcyę 351, na konsumcyę innych gmin kraju 152, na eksport za granicę kraju bydła rogatego 41, na eksport za granicę kraju nierogacizny —. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.

Adres telegraficzny: SYNDYKAT KRAKÓW.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.